BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 4. Niedziela, dnia 16-go lutego Rok 1913

Walerya Marrené (Morzkowska).

SMUTNA SWADŹBA.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie doczekawszy dnia, powstawali wszyscy, i zakrzątnęli się około robót codziennych. Wicek poszedł kosić na łąkę, Tomek orać, stary Lenart z siekierą poprawiał wrota stodoły, Wickowa została przy dzieciach i domowym obrządku, a Salka musiała opleć len, na który okrutne chwasty się rzuciły.

Pole Lenartów było daleko od chaty i aż tam gdzieś pod lasem, w dogodnem miejscu, zasiane było kilka zagonów lnu. Salka też biegła po rosie, narzuciwszy fartuch na głowę od słońca, bo poziome promienie jego biły jej w same oczy i oślepiały niemal. Minęła kosiarzy, spieszących na łąki z kosami, które za każdym krokiem migotały odbiciem słonecznem; minęła oraczy, tym razem nie śmiejąc obejrzeć się za Tomkiem; a potem już szła sama jedna, parowem obrosłym krzakami, gdzie kwitły sasanki i dzwonki.

Ludzie zniknęli jej z oczu za stromemi brzegami parowu; słyszała tylko zdaleka, jak wołali na woły, nawracając je na zakręcie.

Niespodzianie coś zaszeleściało koło niej i z pomiędzy krzaków podniósł się chłopiec, w którym poznała Franka.

Zdziwiła się, widząc go tutaj; może też sumienie jej względem niego nie było bardzo czyste, a może tylko przypomniała sobie, ile z powodu jego swatów doznała zmartwienia, bo pokraśniała cała, i chciała go ominąć. Ale Franek zastępował jej drogę, wązką w tem miejscu bardzo, i nie myślał się usunąć; a był taki jakiś blady, włosy zwichrzone spadały mu na czoło, że byłaby go się przelękła, gdyby nie to, iż oczy jego były bardzo smutne. Salka miała dobre serce, więc zamiast się odwrócić od niego, albo obejść go, wspinając się po stromej ścianie parowu, przystanęła, widząc, że pragnie z nią mówić.

— Nie uciekaj ode mnie Salka, — wyrzekł wreszcie Franek nieśmiało, — przyszedłem tutaj chyłkiem przez las, żeby cię spotkać i rozmówić się z tobą.

— A czegoż wy ode mnie chcecie, — odparła z niedowierzaniem dziewczyna.

— Czego! oj Salka! Salka! com ja ci krzyw, żeś swatów z niczem odprawiła?

Milczała przez chwilę zarumieniona, ale wreszcie wyrzekła z determinacyą:

— Ha! jeśli zrobiłam krzywdę, to sobie samej, wy inną znajdziecie.

Patrzał na nią, nic nie mówiąc, z jakimś dziwnym uśmiechem. Ona wydawała mu się jedyną na świecie, i wyrzekł znowu:

— Wiem ci ja, Salko, dobrze, że mi się trudno dziewkom podobać; nie umiem ani wyskoczyć, ani obrócić się w tańcu, ani śmiać się, ani zażartować.

— No, to widzicie sami, — odparła nieuważnie dziewczyna.

Zaledwie jednak wymówiła te słowa, pożałowała ich, zrozumiała bowiem, że musiała zrobić przykrość Frankowi.

On nie obraził się wcale, westchnął cicho i mówił dalej:

— Może to nie tak bardzo moja wina, Salko; trudno żartować kiedy serce boli, a jakże nie ma boleć, kiedy śmieją się ze mnie dziewczęta, dzieci nazywają po cichu kuternogą; wiem, że mam nieszczególną urodę, to i nie chcę się na śmiechy narażać, a jak ludzie na mnie patrzą, to jakbym szedł przez rózgi.

— Kto wam to powiedział, Franku?

— Nie powiedział mi nikt, a ja przecie czuję po spojrzeniach ludzkich, żem niezdara i brzydki; jakże mi nie ma być smutno.

Mimowolnie spojrzała na niego.

— Tak znowu bardzo brzydcy nie jesteście, — szepnęła.

— Oj, żebym ci się ja brzydki nie wydawał, nie byłabyś swatów odprawiła z niczem.

— Ej, to nie dlatego, — zawołała.

Nabierała z nim śmiałości, w miarę jak mówiła; te słowa wyrwały jej się prawie gwałtem, chciała pocieszyć go po swojemu.

Ale on nie zdawał się pocieszony wcale; przeciwnie, milczał przez chwilę, a potem znowu spytał ją łagodnie:

— To i dlaczegoś mnie nie chciała?

Tego znowu powiedzieć mu nie mogła.

A on ciągnął dalej:

— Gdyby mnie twoje oczy brzydkim nie widziały, a byłbym innym zupełnie, Salko; tybyś była jak słońce dla mnie, nauczyłabyś mnie śmiać się i żar-

tować i być szczęśliwym, jak inni. Ale ty tego nie chcesz.

Teraz dopiero zrozumiała, że wyrządziła mu krzywdę stokroć większą, niżeli sądziła. Oczy jej zaszły łzami.

— Przebaczcie mi, Franku, — zawołała, — to nie moja wina.

— Tak, wiem ci ja dobrze, że nie twoja, — powtórzył. — Inne na twojem miejscu nie baczyłyby na to, że nie wyglądam po ich myśli, śmiałyby się ze mnie na boku, swatów przyjęły. Ty, Salko, taka nie jesteś. Przecież gdybyś mnie kiedy chciała...

Przerwała mu wymownym ruchem, na którego znaczeniu omylić się nie mógł, sama podobna myśl ją trwożyła.

— Bóg widzi, — mówił dalej chłopiec, — nie chciałbym ci marnego słowa powiedzieć; nie bój się, Salko, nie będziesz miała nigdy przykrości ode mnie. Tobie jeszcze widać nie w głowie małżeństwo. Ja chciałem powiedzieć ci tylko, że kiedyś tam, kiedyś, możebyś się przyzwyczaiła patrzeć na mnie.

Oczekiwał jakiego słowa zachęty, ale ona go dać nie mogła. Stała, zafrasowana i niespokojna, a na jej twarzy zarysował się taki dziwny wyraz, że Franek, uderzony nim, zawołał:

— Ty może którego innego sobie upodobałaś.

Głos jego zrazu ostry i ochrzypły, przycichał zwolna, tak że ledwie dosłyszała ostatnie słowo. Odgadł, to, co lękał się przypuścić.

Stanęła cała w płomieniach.

Przez chwilę nie mówili nic do siebie, tylko słyszał jak serce jej biło i każdem uderzeniem zdawało mu się powtarzać jakieś obce, nienawistne imię.

— Ty upodobałaś sobie innego — powtórzył zwolna, jakby z namysłem długim, lub zwyciężając jakieś buntujące się uczucia.

— Ha! — wyrzekł znowu, — wola twoja... masz prawo, masz prawo

Na ustach miał jeszcze słowo „niech ci Bóg przebaczy“, zamiast tego jednak powiedział tylko łagodnie:

— Idź z Bogiem, Salko.

Wsunął się między krzaki, z których był wyszedł i boczną ścieżką podążył do lasu, zostawiając jej wolne przejście.

Ładna dziewczyna popatrzyła za nim przez minutę, westchnęła, potem ściągnęła lekko ramiona i poszła swoją drogą, z niewinnem okrucieństwem, myśląc o Tomku.

Kiedy na przypołudnie wracała do domu, spotkała Tomka, który pędził woły na paszę. Od wczoraj, kiedy uciekł z chaty, widząc wchodzących swatów, nie powrócił do niej. Chłopak Wickowej zaniósł mu w pole śniadanie. Nie wiedział więc wcale, co się dalej stało, tylko sokole oko jego dostrzegło Franka, jak się skradał ku drodze, którą Salka iść miała.

Teraz szedł, popędzając woły i pogwizdując jakąś nieokreśloną nutę, która, przechodząc mu przez usta, nabierała syczącego dźwięku.

Nie pozdrowił zrazu Salki, idącej przy nim z pękiem chwastu na ręku; zdawał się jej nie widzieć; tylko czasami, ni ztąd ni zowąd, uderzał witką niewinne woły, chociaż nie zbaczały z drogi, nie zatrzymywały się nigdzie i szły prosto przed siebie, cierpliwe i posłuszne.

Dopiero przed podwórkiem prawie Lenartowej chaty, Tomek zatrzymał się nagle.

— A no, kiedyż wesele! — zapytał zdławionym głosem.

Tym razem Salka roześmiała się wesoło.

— Jakie znowu wesele! — zagadnęła z kolei, niby nie rozumiejąc, do czego on zmierzał.

Tomek spojrzał na nią niepewnem okiem: czy żartowała z niego, czy też doprawdy wesele owo przyśniło mu się tylko.

— A swaty wczorajsze! — zawołał, — swaty kulawego Franka!

Przez chwilę dziewczyna miała ochotę się z nim podroczyć, ale nie miała serca tego uczynić, bo go jej strasznie żal było.

— Swaty! — odparła pogardliwie, — ot swaty poszli tak jak i przyszli.

— I ty nie wypiłaś od nich wódki! — zawołał wstrzymując oddech.

Zamiast odpowiedzi, patrzała na niego z promiennym uśmiechem kochającej kobiety. Alboż nie wiedział, że ona niczyich swatów przyjąć nie mogła; że dla niej istniał on tylko jeden na świecie!

Wszystko to niebieskie oczy Salki powiedziały tak wyraźnie, że Tomek zrozumieć musiał ich mowę. Zrobiło mu się na przemian zimno i gorąco i odetchnął z głębi piersi, jakby spadł mu z niej ciężar olbrzymi.

— Salko! Salko! — wykrzyknął tylko.

Był to bardzo prosty wykrzyknik, nie wypowiadający nic wcale; ona jednak pojęła go równie dokładnie, jak on jej spojrzenie. Oboje porozumieli się w tej chwili, i weszli do chaty rozpromienieni, jakby do nich należał świat cały. Tomek nie mógł wytrzymać, śmiał się sam do siebie, spoglądał na obecnych radośnym wzrokiem, porwał na ręce tłustą Jagoskę, najmłodszą dziewczynę Wickowej, i huśtał ją do góry, nie zważając, że cała była umazana kluskami, które siedząc na ziemi, wyjadała z rynki.

Salce zaś, jeśli nie śmiały się usta, to oczy były takie jakieś jasne i zwilżone, że biła z nich prawdziwa łuna szczęścia.

Oboje jednak trafili na wcale przeciwne usposobienie całej rodziny. Wickowa kwaśno krzątała się u komina, bo Wicek, co był na kośbie, słyszał, jak tam ludzie różnie mówili o młynarskich swatach, jak się Bonkowie odgrażali i jak wróżyli, że Salka źle skończy, bo tylko bałamuci chłopców, a statkować, ani za mąż iść nie chce.

Stary Lenart wysłuchał tego wszystkiego i zafrasował się bardzo. On także od wczoraj szukał w myśli przyczyny, dla której córka odrzuciła Franka. Radość więc młodej pary, chociaż bardzo niewinna, była zupełnie nie w porę.

— Dajże pokój mojej dziewusze, — zawołała z gniewem Wickowa na Tomka, odbierając mu tłustą Jagoskę, która krzyczała, wyrywając się napowrót do przerwanego w tak niezwykły sposób obiadu.

Ojciec zaś ze swojej strony zgromił Salkę.

— Oj, masz się ty z czego cieszyć, — wyrzekł surowo, — czy z tego głupstwa coś go zrobiła, czy z mojego frasunku, czy ze śmiechu ludzkiego.

Niestety, pierwszym powodem jej uciechy, było właśnie owo głupstwo, a nawet, wbrew ojcowskiemu gniewowi, serdeczna uciecha nie myślała jej opuszczać, tylko schroniła się w głąb serca; daremnie jednak pragnęła ją ukryć: wbrew woli twarz jej płonęła tak ślicznemi kolorami, a czoło takie było pogodne, że jaśniała jak zorza w osmuconej chacie.

Lenart popatrzył chwilę na córkę, na Tomka, i coś go tknęło. Dlaczego, wpośród frasunku rodziny, oni byli tacy uszczęśliwieni! Przecież na teraz

nie powiedział nic więcej. W milczeniu jadł obiad, przyrządzony przez synową, i rozważał co ma uczynić! a po południu, kiedy wszyscy szli na robotę, Tomek pędził woły i Salka wybierała się napowrót do lnu, zatrzymał ją i wymyślił w domu jakąś pilniejszą robotę.

Całą odwieczerz stary Lenart rozmyślał coś i układał. Co ułożył, nie wiadomo, bo się nikogo nie radził i nikomu nie zwierzał. To pewna, że wieczorem oświadczył głośno, iż pojedzie z Salką na odpust, do sąsiedniej parafii. Nazajutrz rano kazał jej się pięknie ubrać, sam zaprzągł do woza, i ruszyli oboje tą samą drogą przez rozdół pod lasem, którą wczoraj szła Salka. Minęli kosiarzy na łące i orzącego Tomka.

Salce zrobiło się czegoś smutno bardzo, chociaż jechała na odpust, miała zobaczyć ciotkę rodzoną i krewnych, mieszkających aż w trzeciej wsi. Nie mogła wytrzymać, żeby się nie obejrzeć za Tomkiem. I zobaczyła go, jak stał na górze on, także w nią wpatrzony.

Woły, nie czując poganiającej ręki, przestały odwalać pługiem ciężką rolę, i odpoczywały chwytając powietrze szerokiemi nozdrzami.

Przez chwilę widziała ten obraz, ozłocony porannem słońcem, ujęty w ramy kilku grusz starych, co stały na polu, obdarzając co rok obficie dzieci wiejskie dzikim owocem. Aż wjechali w las; drzewa zwarły się za niemi: i Tomek, i czarne woły, i grusze, zniknęły jej z oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DOM I SZKOŁA.

I. Początek szkolnej nauki.

Ważną to chwilą w życiu sześcioletniego malca, gdy opatrzony w książeczkę i tablicę prowadzony przez matkę pierwszy raz idzie do szkoły. Z bijącem sercem i szeroko otwartemi oczyma przyjmuje maleńka istota szereg nowych, nieznanych i po części niezrozumiałych wrażeń, wchłania je na razie, z czasem na swój sposób krytykuje i przerabia na swą korzyść.

Rodzice, prowadzący pierwszy raz dziecko za rączkę do szkoły, często nie zdają sobie sprawy z całej doniosłości tej chwili. A przecież to pierwszy krok na drodze pracy i obowiązku!

Życie dziecięcia dotąd upływające bezplanowo, swobodnie i lekko, otrzymuje teraz pewien kierunek i zostaje ujęte w ramy reguły i systemu.

Słuszną przeto i konieczną rzeczą stopniowo przygotować dziecko do tej zmiany.

Nie znaczy to bynajmniej uczyć je liter i męczyć czytaniem, aby mu dać pewne wyobrażenie o czytaniu. Można wprawdzie dziecko żywe i ciekawe zajmować poznawaniem liter w książeczce, będzie to dla niego miłą zabawą i da mu pożytek. Jeżeli jednak zauważymy, że dziecko z trudnością poznaje litery, że zaraz je zapomina, zostawmy tę pracę aż do czasu szkolnej nauki, a raczej zatrudniajmy małe dziecko rozmową o rzeczach, zwierzętach, roślinach, o deszczu, śniegu i t. d., przyczem obiecujmy mu, że gdy pójdzie do szkoły, dowie się więcej, że pan nauczyciel wiele pięknych mu rzeczy opowie.

W ten sposób dziecko będzie dla szkoły przygotowane i dobrze usposobione, pozbędzie się wszelkiej obawy, jaką w niem budzi widok nauczyciela i wielkiej gromady dzieci, choć wesołych i miłych, ale obcych.

I serce i umysł dziecka powinny być dla szkoły należycie przygotowane.

Bardzo niestósowne i szkodliwe dzieciom są pogróżki i ostrzeżenia, jakie niektóre matki lubią powtarzać: Czekaj tylko, nauczyciel się wybije! Żebyś już poszedł do szkoły, nauczyciel ci te figle wypędzi z głowy! i t. p.

Ani się domyślają matki, że takiem odezwaniem budzą we wrażliwym umyśle dziecka wyobrażenie o nauczycielu, jako osobie srogiej, okrutnej. Miłe wrażenie szkoły, małych towarzyszów, pracy, do której ma wielką ochotę mały uczeń, zostaje niejako sparaliżowane obawą przed owym kijem nauczyciela, o którym matka mówiła.

I w tym lęku pozostaje dziecko przez czas długi, nieraz i przez cały czas szkólnej nauki. Choć nauczyciel łagodnie przemawia i wcale nie bije, dziecko pamięta pogróżkę matki, a widząc pewnego razu karę wymierzoną przez nauczyciela, pomyśli, że teraz i on podobną karę odbierze, bo nauczyciel jest na to, aby dzieci bił.

Nie potrzeba dodawać, że tym sposobem dziecko odnosi z początkowej nauki o wiele mniejszą korzyść, że traci zaufanie do nauczyciela, które stanowi tak cenny warunek nauki i wychowania.

Weź matko dziecko za rączkę i zaprowadź je do szkoły na pociechę i na pożytek, a nie zaszczepiaj w niewinne i szczere jego serce uczuć nieufności i uprzedzenia, które niestety pozna w późniejszem życiu przez własne często bolesne doświadczenie.

M. G.

Z pamiętnika nie-sknery.

„Nie zrażaj się, mój synu; sztuka robienia pieniędzy, o której zamierzam mówić, nie ma nic wspólnego z kodeksem kryminalnym, nie idzie tu bowiem o podrabianie fałszywych banknotów, ale o dojście w uczciwy sposób do majątku.

Kiedy lekarz zbliża się do chorego, o którym wie, że czuje odrazę do lekarstw, mówi: odwagi przyjacielu, przezwycięż wstręt i zażyj przykrą miksturę — inaczej źle z tobą!

Tak samo należy postąpić z chorym na rozrzutność. Chorym jesteś bracie, mówimy doń, choroba twoja gotuje ci torbę w perspektywie, ale cię wyleczymy; oto środek przykry wprawdzie, ale zbawienny, przezwycięż odziedziczony doń wstręt: *bądź oszczędnym!*

Chcesz dojść do pieniędzy, bądź oszczędnym — oto sekret całej sztuki. Jeżeli nie masz majątku — oszczędzaj, byś doszedł do niego: jeżeli masz — oszczędzaj, byś go zachował. Łatwiej jest zarobić, niż to coś zarobił utrzymać. W obu wypadkach zasadą postępowania: wydawać mniej niż się zarabia.

Ale sama oszczędność nie wystarcza: trzeba umieć oszczędzać. Niejednemu zdaje się, że jest oszczędnym, gdy w rzeczywistości jest tylko sknerą. Ten wmawia w siebie, że nie ma apetytu, ów słudze za byle szkodę z zasług wytrąca, inny znowu u siebie nikogo nie przyjmuje i t. p. A nie brak i bardzo oszczędnych marnotrawców. Są gosposie, które utargowawszy dziesiątkę na targu, tak są tem ucieszone, że tego samego dnia przepłacają w dwójnasób kapelusz w najdroższym

magazynie, a nieraz gospodarz po wieczorku, który pochłonął setki, drugi wieczór spędza bez światła — przez oszczędność! Przypomina to tego półgłówka, który przez oszczędność kupił na obiad śledzia dla rodziny, a potem wynajął powóz, by śledzia przywieźć do domu.

Nie ilość pieniędzy stanowi o dobrobycie, ale umiejętność obchodzenia się z niemi: niejeden mający kilka set dochodu, szczęśliwszym jest i lepiej się ma niż inny, mający ich kilkanaście tysięcy.

Większość dorobiwszy się grosza, nie myśli o niczem innem, jak tylko o rozszerzeniu zakresu swych potrzeb i otoczeniu się zbytkiem, by sprostać innym. Chęć zachowania pozoru gubi ich, padają ofiarą próżności.

Toż to już Franklin powiedział: „Nie nasze oczy, ale oczy innych nas rujnują; gdyby wszyscy, prócz mnie, byli ślepi, nie dbałbym ani o strój wykwintny, ani o sprzęt bogaty".

Chcecie się ustrzedz marnotrawstwa i błędnie pojętej oszczędności, oto sposób prosty i do wykonania nietrudny. Jeżeli masz przyzwoite utrzymanie, a pomimo to pod koniec roku nic nie zdołałeś oszczędzić, to weź papier, podziel go na dwie rubryki, napisz nad jedną *niezbędne*, a nad drugą *zbyteczne*, i według tego spisz wszystkie twoje wydatki. Przekonasz się naocznie, że *zbytek* więcej pochłonął niż *potrzeba*.

Zdziwisz się może, gdy tuż obok oszczędności postawię pielęgnowanie *zdrowia*. Jeżeliś chory, nie w głowie ci robienie pieniędzy: niemoc to równoznacznik apatyi i braku energii. Niejeden sam sobie zawdzięcza zły stan swego zdrowia. Zliczcie owe ofiary niedorzecznej mody, nałogów, trunków i innych nadużyć; ileż to sił przedwcześnie steranych, ile majątków nierozsądnie strwonionych! Nie patrzcie z lekceważeniem na hygienę: to przyjaciółka nietylko zdrowia waszego, ale i szkatuły.

Chcesz kasę zawsze mieć pełną, dbaj o to, byś umysł miał trzeźwy. Dopięcie celu w każdem przedsięwzięciu wymaga dojrzałego namysłu, długiego zastanowienia, zdrowego sądu i dokładnych obliczeń. Nikt nie zdobędzie się na to, mając głowę zaprószoną. Ileż to nieraz dobrych okazyi wypuszczamy z rąk w chwili, gdy z sąsiadem trącamy się kieliszkiem; ile niekorzystnych zawieramy umów, ile dobrych zamiarów odkładamy na jutro, bo dziś głowa cięży jak ołów; iloma łzami nieraz opłakują wnuki niewstrzemięźliwość ojców!

Chcesz być niezależnym — strzeż się długu. Pierwszy dług, to jak pierwszy krok błędny, staczający dalej po pochyłości — w przepaść. Co jesz, pijesz, co nosisz, niech będzie *twoje*. Pamiętaj zawsze o tem, że wierzyciel twój budzi się nazajutrz bogatszym, bo noc mu procent przyniosła, ale ty wstajesz biedniejszym, bo przez noc dług twój urosł. Kto pożycza, robi częstokroć wydatki, którychby nie robił, gdyby nie pożyczył.

Nim zawód obierzesz, zastanów się dobrze, czy odpowiada twemu zamiłowaniu: bo kto z powołaniem się minął, nigdy do niczego nie dojdzie. Wytknąwszy sobie raz cel, dąż doń niezmordowanie, nie zrażaj się zawodem, nazbyt nie ufaj nadziei. Pomagaj sam sobie, a Bóg ci dopomoże.

Raz uczeń Mahometa rzekł do proroka: Odwiąże wielbłąda i powierzę go opiece Opatrzności.

A prorok na to: Przywiąż go naprzód, a potem zdaj Opatrzności.

Nie opieraj powodzenia na pożyczanym groszu. Kto z doświadczenia nie zna wartości pieniędzy, temu pożyczka nie służy. Łatwo przyszło, łatwo poszło; ten tylko ma prawo pożyczać, kto się nauczył zarabiać.

Ten tylko potrafi pożyczki użyć na dobre, kto z oszczędności zdołał pierwszy grosz odłożyć. Prawie wszyscy dzisiejsi i dawniejsi bogacze amerykańscy zaczęli z niczego: uzbrojeni w energię, pilność, skrzętność, wytrwałość, stopniowo, powoli torowali sobie drogę, pracując własnym trudem zdobytemi pieniędzmi. Stewart, biedny chłopak irlandzki, miał w ostatnich latach życia półtora miliona dolarów dochodu. Astor, syn biednego dzierżawcy, pozostawił dwadzieścia milionów dolarów. Stefan Girard, chłopiec okrętowy, zebrał dziewięć milionów, a Korneliusz Vanderbildt, ojciec dzisiejszego króla kolejowego, pan dziewiętnastu milionów, karyerę swoją zaczął jako sternik.

W stosunkach z ludźmi bądź grzecznym, usłużnym, ale zawsze przezornym. Zbyt łatwy kredyt nigdy nikomu nie wychodzi na dobre. Jeżeli przyjacielowi wyświadczasz przysługę, nie czyń tego bez zabezpieczenia wierzytelności, inaczej nie tylko siebie, ale i przyjaciela zgubisz. Gdybyś przyjaciela swego z góry uprzedził: zrobię ci grzeczność, ale nie mam zwyczaju pożyczać nie zabezpieczywszy się dostatecznie, przyjaciel twój nie mógłby wdać się w spekulacye przechodzące jego majątek, leżące poza obrębem jego fachu. Pomoc nieprzezorna gubi częstokroć i nas i tych, którym pomódz chcemy."

Dla domu i gospodarstwa.

— **Oczyszczanie noży.** Jedyny prędki sposób oczyszczania noży jest: po użyciu noże, to jest same ostrze, zamoczyć w dość głębokim garnczku, w wodzie ciepłej, ale nie wrzącej, gdyż w takiej ostrze noży tępieją. Po wyjęciu z wody biorąc po jednej sztuce, wymyć do czysta, wytrzeć do sucha, a potem czyścić pomadką (której dostać można w każdym porządnym składzie aptecznym) należy tylko zażądać „pomadki do czyszczenia noży". Po oczyszczeniu pomadką opłukać noże w wodzie letniej, wytrzeć je bardzo starannie i przechowywać w szufladzie wyłożonej czystym papierem. Jeżeli nie wszystkie noże mają służyć do użytku codziennego, to część pozostałą obwinąć każdy z osobna w miękki papier. Noże muszą leżeć w szufladzie, oddzielone od widelców i łyżek, gdyż biorąc je do użytku niszczą się i rysują łyżki i widelce.

— **Mycie okien i drzwi.** Do mycia okien i drzwi nie należy używać gorących mydlin, gdyż one niszczą farbę olejną. Najlepiej wziąć zimnej wody i nieco amoniaku. Wtedy brud znakomicie schodzi, a farba się nie ściera. Chcąc przyrządzić płyn do szorowania, bierzemy jedną część amoniaku na 12 części wody.

— **Czyszczenie mebli.** Meble skórą kryte odświeżą się znakomicie przez wytarcie skóry białkiem, ubitem na pianę. — Meble politurowane najlepiej wycierać szmatką miękką, umaczaną w nafcie, a następnie suknem, aż do połysku.

— **Plamy po kawie.** Plamy takie wywabia się w następujący sposób: Miejsce splamione, natrzeć dobrą, oczyszczoną gliceryną bez zapachu, zmyć czystą letnią wodą i prasować gorącem żelazem z lewej strony, dopóki nie wyschnie. Sposób ten nie uszkodzi najdelikatniejszego koloru tkaniny, a usunie bez śladu tłuszcz śmietanki i zabarwienie, pozostałe po kawie.